

BRET HARD.

## Podarek gwiazdkowy.

Było to w czasie świąt Bożego Narodzenia w Kalifornji, a więc w czasie deszczów ulewnych i budzących się traw. Chwilami słońce przebijało pędzące chmury i strugi deszczu i oświeślało ponure góry; śmierć i zmartwychwstanie zlewały się w jedno i z samego serca zniszczenia rodziło się i wyciągało do światła życie radosne. Nawet burze, zmiatające z drzew liście uschnięte, pieściły jakby świeże paki, które zrodziły się na miejscach liści. Nie było planu śnieżnych na ożywiających polach; plug rolnika ciągnął się wzdłuż brzdów, wrytych przez deszcze ostatnie.

Dlatego przybranie pokoju roślinami zimowemi, iglastemi stanowiło kontrast z delikatnymi główkami róż, którym wiatr południowo-zachodni kazał zaglądać do pokoju.

— A teraz — zaczął doktor, przysuwając krzesło bliżej do kominka i spoglądając na jasne główki życzliwie choć poważnie — wiedźcie, że skoro rozpocznie opowiadanie, nie znoszę żadnych głupich pytań. Po pierwszym pytaniu przestaje opowiadać. Po drugim będę uważał za swój obowiązek, zapisać każdemu z was porcję oleju rycynowego. Ten, kto poruszy ręką, albo nogą zdradzi się, że pragnie amputacji tej kończyny. Przyniosłem ze sobą instrumenty chirurgiczne i nie pozwolę, aby ktoś narzekał na mnie. Cóż więc, obiecujecie?

— Tak! tak! — odpowiedziało chórem sześć głosików. Pomimo to natychmiast sypnęło się pół tuzina pytań.

— Baczność! Bob, opuść nogi i przestań brząkać szablą. Flora, niech usią-

dzie razem ze mną, jak mała dama i służy przykładem wszystkim. Fung-Tang może też pozostać, jeśli chce. A teraz przyjmijcie trochę światło, ot tak, dosyć — ażeby płomień na kominku i świeczki na choince płonęły jaśniej. Cicho, szal! Ten kto zgniecie migdał, orzech, albo westchnie nad rodziną, będzie musiał opuścić pokój.

Nastąpiło głębokie milczenie. Bob troskliwie położył przy sobie szablę i zamyślony objął rękoma kolana swoje. Flora poprawiła kieszonkę fartuszka i dawszy rękę doktorowi, pozwoliła mu na posadzenie jej obok niego. Małeńki służący poganin Fung-Tang, któremu z powodu świąt Bożego Narodzenia na pozwolenie bawić się z dziećmi, patrzył na grupkę z cichym, filozoficznym jakby uśmiechem. Uroczystą ciszę pokoju zakłócało jedynie tykotaniem francuskiego zegaru na kominku, podtrzymywanego przez młodą pastuszkę o skórze z brązu i niezwyklej harmonji członków. W ciszy tej zapachy igliwia, nowych zabawek, kleju, lakieru i drzewa cedrowego łączyły się w jakiś ogólny zapach nieokreślony.

— Cztery lata temu w tym samym czasie — zaczął doktor — byłem w uniwersytecie w jednym z miast Stanów. Jeden z profesorów, człowiek towarzyski i dobroniosny, choć cokolwiek tępy i za bardzo praktyczny, zaprosił mnie do siebie na wigilię. Ucieszyłem się z tego bardzo, gdyż zainteresowałem się byłem jednym z jego synów, o którym opowiadano cuda, pomimo, że ukończył on zaledwie lat dwanaście. Nie umiałbym wam powiedzieć, ile ten chłopiec nauczył się na pamięć wierszy łacińskich, a ile napisał wierszyków po angielsku. Po pierwsze — chcielibyście napewno, żebym wam je powtórzył, po drugie — muszę się wam przyznać, że nie znam się na poezji, ani na łacińskiej, ani na angielskiej. Lecz byli znawcy, prawdziwi znawcy, którzy twierdzili, że wiersze te były nadzwyczajne, jak na jego wiek i wszyscy przepowiadali mu wspaniałą przyszłość. Wszyscy — z wyjątkiem jego ojca. Ten, skoro zachodziła o tem mowa, kiwał głową z niedowierzaniem, ponieważ — jak to już wam rzekłem — był to człowiek praktyczny wielce i wiecznie zajęty interesami.

Wigilja u profesora wypadła doskonale. W domu zebrali się wszystkie znajome dzieci; wśród nich był naturalnie i Rupert, utalentowany syn profesora, warty chłopiec, podobny do Boba i z taką jasną główką, taki delikatny, jak Flora. Ojciec mówił, że był on słabego zdrowia, rzadko biegał i bawił się z innymi chłopcami, wołał siedzieć w domu nad książkami i pisać to, co nazywał on „moje wierszyki”.

Była tam choinka, podobna do naszej. Smialiśmy się wszyscy i gawędzili wesoło, wykrzykując imiona dzieci, wypisane na podarkach. Wszyscy byli weseli i szczęśliwi, gdy nagle jedno z dzieci wykrzyknęło z podziwu i ogłosiło ze śmiechem:

— Patrzenie, prezent dla Ruperta! Zgadnijcie jednak, co to jest?

Zaczęliśmy jeden przez drugiego zgadywać: „Przybory do pisania”, „Utwory Milтона”, „Złote pióro”, „Słownik rymów”... Nie to? No więc cóż wreszcie?

— Bęben!

— Co! — rozległ się chór głosów

— Bęben! I na nim imię Ruperta.

Dziecko powiedziało prawdę. Wielki, błyszczący, nowy, okuty miedzią bęben z karteczka:

„Dla Ruperta”.

Naturalnie roześmialiśmy się wszyscy szczerze i uznaliśmy żart za bardzo dobry.

— Widzisz Rupercie, sądzono ci, wi-  
docznie, nahałasować na świecie! — zau-  
ważył jeden.

— Pergamin dla poety! — dodał drugi.

— Ostatnia praca Ruperta w sprawie z owczej skóry! — dorzucił trzeci.

— Zagraj nam, Rupercie, coś klasycznego! — prosił czwarty i tak dalej bez końca.

Rupert jednak za bardzo wziął do serca ten fakt: zmienił się na twarzy, zbladł, przygryzł usta, nagle zaszlochał i uciekł z pokoju. Wtedy żartownisie zawstydzili się i poczęli jeden drugiego pytać, kto powiesił bęben na choinkę?

Lecz nikt nie wiedział, a jeżeli nawet wiedział to teraz po całej awanturze nie chciał przyznać się. Wszystkim zrobiło się żal biednego dziecka. Zawołali i zabrali służbę, lecz i służba nie nie wiedziała. A co najdziwniejsze, to — że wszyscy zapewniali, iż nikt nie zauważył bębna do chwili, kiedy ogłoszono o nim. Co ja myślę? Mam na to swój pogląd... Ale proszę bez pytań! Dość, że Rupert więcej nie zszedł z góry do halu tego wieczora i gościeli wkrótce rozeszli się.

Zażyłem prawie zapomnieć o tym wypadku, gdy nagle wybuchła wojna. Jako doktor wstąpiłem do jednego z pułków i ruszyłem na wojnę. Przed wyjazdem byłem jeszcze w mieście, gdzie mieszkał profesor i tu spotkałem go. Pierwsze moje pytanie dotyczyło Ruperta. Profesor smutnie potrzaskał głową.

— Rupert jest niezdrowy! — rzekł — Od samej wigilji, kiedy go pan widział poraz ostatni, widnie formalnie. Dziwna choroba — tu wymienił jakieś przema-  
drzałe słowo łacińskie — niezwykle rzadki wypadek. Może pan wstąpi i odwiedzi go. To mogłoby rozerwać go i byłoby korzystne dla niego.

Udałem się do mieszkania profesora i zastałem Ruperta na kanapie, obłożonego poduszkami. Wokół leżały książki i — dziwny kontrast — nad samą głową wisiał na gwoździu ten sam bęben, o którym już wam opowiadałem. Chłopiec schudł strasznie i zmienił się na policzkach palli-  
wymi.

## Bank Śląski :: Banque de Silésie

Spółka Akcyjna

### Bank Dewizowy

KATOWICE, ulica Trzeciego Maja 1. 9.

(MYSŁOWICE, Kasa Targowa)

Adres telegraficzny: SLABANSIL-Katowice.

## Operacje kredytowe, towarowe, dewizowe.

**Spółka Akcyjna**

# **KOOPROLNA** «

**Związek Syndykatów i Stowarzyszeń  
Rolniczo-Handlowych**

## **KATOWICE**

**ulica Mickiewicza 10 :-: Telefon nr. 12-28**

**Węgiel / Nawozy sztuczne / Maszyny rolnicze / Nasiona / Ziemiopłody**



Dostarcza dla Hurtowników i Spółek Spożywczych: Mąkę żytnią, pszenną, krajową, amerykańską i węgierską. Mąkę kartoflaną i kaszę wszelkiego rodzaju.

**Cukier    ◉    Groch    ◉    Fasola    ◉    Mak**

**Wszystkie gatunki zbóż**



Wagonowo i w mniejszych ilościach.

Z własnych magazynów na dworcu kolejowym w Katowicach.

się nieszczęśliwie a szeroko otwarte oczy błyszczały jakimś ogniem wewnętrznym.

Uczułem się, a gdy się dowiedział, że idę na wojnę, za ypał mnie nieskończona ilość pytań, dotyczących wojny. Myślałem, już, że ostatecznie oderwałem go od jego fanazji chorobliwych, gdy nagle chwycił on mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

— Panie doktorze — szepnął cichym głosem — pan się nie będzie śmiał, jak pan coś powiem?

— Naturalnie, że nie będę! — odpowiedziałem.

— Czy pamięta pan ten bęben? — powe ział, w kazując ręką na błyszczącą na ścianie zabawkę — Pan wie przecież, kiedy i jak go dostałem. W parę tygodni po Bożem Narodzeniu spałem tu na kanapie, a bęben wisiał na ścianie, gdy nagle usłyszałem głos jego. Z początku bił on słabo i rzadko, potem coraz częściej i głośnie, dopóki głos jego nie wypełnił całego domu. W nocy znów go usłyszałem. Nie śmiałem nikomu powiedzieć o tem, lecz od tego czasu słyszę go co noc.

Zamilkł i z trwogą patrzył mi w oczy.

— Czasami — ciągnął dalej — bębni cichutko, czasem znów głośno, lecz zawsze kończy się na alarmie i wtedy bębni tak głośno, tak groźnie, że czekam zawsze, iż przyjdą do mego pokoju ludzie, aby zapytać oś, co się stało. Ale mi się zdaje, panie doktorze, mi... się... zdaje... powtórzył wolno, patrząc mi ciągle w oczy z dręczącą mnie przenikliwością, że nikt go nie słyszy oprócz mnie.

Mnie się to samo zdawało, lecz zapytałem go, czy nie słyszał on bębna w innej porze dnia.

— Raz albo dwa razy, w ciągu dnia, kiedy czytałem lub pisałem. Wtedy bębnił bardzo głośno, jakby gniewając się i chcąc oderwać uwagę moją od książek.

Popatrzyłem mu w oczy i wziąłem go za puls... Oczy błysnęły, puls był nierówny i przyspieszony. Starałem się wyjaśnić mu, że osłabił bardzo, że jego wolność odczuwania wszystkiego zaostriżała

się w wysokim stopniu, co zwykle zauważyć się daje u ludzi słabych, że kiedy zainteresuje się lekturą, czy podnieci czym, w głosie jego bije wielka arterja i przypomina bębna.

Wysnuł mi rękę z smutnym uśmiechem niedowierzania, lecz podziękował i wkrótce pożegnałem się z nim. Na schodach spotkałem jego ojca i powiedziałem mu swoje zdanie o chorobie.

— Potrzeba mu świeżego powietrza i ruchu — rzekł profesor — oraz pewnego praktycznego zapoznania się z życiem.

Profesor nie był złym człowiekiem, lecz był nieco rozstrojony i myślał — jak myśli wielu mądrych ludzi — że to, czego on nie rozumie musi być koniecznie głupstwem albo nieprzyzwoitością.

Tegóż dnia wyjechałem z miasta i wkrótce w wzmuszeniach pół bitew i lazaretów zapomniałem o małym Rupercie i nie słyszałem nic o nim, dopóki nie spotkałem się w polu z pewnym starym kolegą szkolnym. Znał on profesora i zawiadomił mnie, że Rupert zupełnie zwałował i w czasie jednego z ataków uciekł z domu. Ponieważ nie mogli go odzyskać, przypuszczali, że wpadł w rzekę i utonął. Możecie sobie wyobrazić, jak wiadomość ta w pierwszej chwili podziałała na mnie. Ale, mój Boże, żyłem wtedy w warunkach nie mniej okropnych i nie miałem czasu długo martwić się biednym Rupertem.

Wkrótce potem wybuchła straszna bitwa, w której część naszej armji została napadnięta z nienacką i odrzucona z wielkimi stratami. Otrzymałem rozkaz brygady, żeby objechać pola bitwy i pomóc lekarzom dywizji rozbitej, zawałonym pracą nad sity. Kiedy podjechałem do stodoły, która służyła jako lazaret, wziąłem się zaraz do pracy. Ach, Bob! — dodał doktor, biorąc z rąk Boba błyszczącą szabelkę i w zamyśleniu trzymając ją przed sobą. — Te piękne zabawki, to symbole okrutnej, wstrętnej rzeczywistości.

Zbliżyłem się do rosnącego, potężnego wermontczyka — ciągnął dalej powoli, rysując pochłą szabli rysunki na dywanie; — był on ciężko ranny w oba

biodra... Pomimo to, gdy ujrzał mnie, wyciągnął do mnie ręce i błagał, abym pomógł najpierw tym, którzy więcej cierpią. Nie zwróciłem z początku uwagi na jego prośbę, gdyż tego rodzaju wspaniałomyślność jest bardzo rozpowszechniona w armji. Lecz ranny błagał wciąż:

— Na Boga, doktorze, niech pan mnie zostawi. Mam tu dobrego naszego pułku, dziecko zupełnie, umiera, jeżeli już nie umarł. Niech pan idzie, niech pan jego najprzód opatrzy. Uratował on dziś niejedno życie. On był na swym stanowisku w dzisiejszą panikę i uratował honor pułku.

Byłem zdumiony tonem tego człowieka, więcej nawet niż treścią jego słów, po wierdzonych zresztą przez pozostałych rannych, że udałem się do miejsca, gdzie leżał dobosz obok swego bębna. Spojrzałem nań... Tak, Bob, tak, działki mej... To był Rupert.

Nie potrzebny był Krzyż, który wyrysowali kredą inni lekarze na ordynaryjnych derkach jego łoża na znak, że potrzebna tu jest natychmiastowa pomoc lekarska; nie potrzebne były prorocze słowa wermontczyka, nipot, który przemo zył przył piono do białego czoła ciemne w osy, aż bym zauważył na pierwszy rzut oka, jakim stnie znajduje się chłopiec. Zawołałem na niego po imieniu. Owozyły oczy, które stały się jakby jeszcze większe... Poznał mnie... Szepnął...

— Cieszę się, że pan przyszedł, chociaż przypuszczam, że pan mi nie pomoże.

Nie mogłem kłamać. Nie mogłem mu nie powiedzieć. Uściśnięłem mu tylko rękę, a on mówił dalej:

— Niech pan zobaczy się z ojcem moim i poprosi go, ażeby mi przebaczył. Nikt nie jest temu winien, tylko ja. Minęło dużo czasu, zanim zrozumiałem, dlaczego bęben przyszedł do mnie w noc gwiazdkową i dlaczego wołał mnie co wieczór i co mi mówił. Teraz już wiem wszystko. Zrobiłem, co do mnie należało i jestem zadowolony. Niech pan powie ojcu, że tak jest, lepiej. Przecież

gdybym żył, tobym go tylko martwił i męczył go... Coś mi mówi, że tak musiało się stać.

Miechał minutę może. Nagle schwył mnie za rękę:

— Słyszysz pan?

Zacząłem nad słuchować, lecz nie słyszałem nic oprócz stłumionych jęków otaczających nas rannych.

— Bęben! — rzekł cichym głosem. — Czy pan nie słyszy? Bęben woła mnie.

Wyciągnął rękę w kierunku bębna, jakby chcąc objąć go.

— Niech pan słucha! — mówił dalej. — Tak nie można. Oto stanęły szeregi. Będzie przegląd. Widzi pan jak błyszczy słońce na bagnietach. Oczywiście, która otacza jego głowę... Widzi mnie, uśmiecha się do mnie... To...

I z tym Imieniem na ustach, które powtarzał od lat dziecińczy, wyciągnął się zmęczonym ruchem na deskach i... zaciął.

Ot i wszystko! Proszę bez żadnych pytań. Co komu do tego, co stało się z bębniem. A które to z was pociąga noskiem i płacze?... Gdzie podziały się moje pigułki z olejkiem rycynowym?

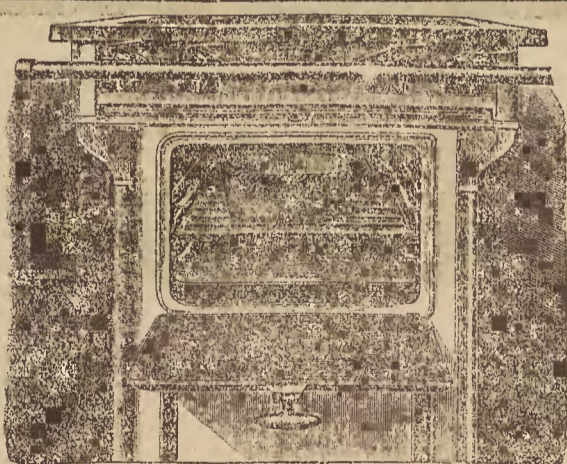
Th. M. S.

## Raj kwiatowy.

Prawdziwy raj kwiatów odkrył w czasie naukowej botanicznej podróży po Tybecie angielski kapitan, Kington Ward. Kapitan zachwycony jest okolicami poza Himalajami, które obsiane są poprostu purpurowymi, różowymi czerwonymi i żółtymi rododendronami, na uboczu zaś całymi obszarami modrych kwiatów, maków i pomarańczowemi pierwiosnkami. W wyższych rejonach rozlewa się całe morze filojetowych lilij i kanarkowo złotych pierwiosnków, dochodzących tam jednak olbrzymich rozmiarów, do 1 metra wysokości. Pasma górskie okryły się makami złotymi, bladomodrými, poziomkowymi. Czerwień rododendronów widać jest z odległości całych mil.

# Radosną niespodzianką dla każdej gospośi jest modny gazowy piec do gotowania i pieczenia.

We wszystkich wielkościach i wykonaniach do otrzymania takie stosowne podarki gwiazdkowe w aparatach gazowych jak: piece kąpielowe i do ogrze-



wania. Wszystkie gazowe aparaty, sprzedawane w obrebie naszego rejonu, sprzedajemy w czasie od 5% 8-24 bm. z ustępstwem

**Górnośl. Centrala Gazowa - Wielkie Hajduki**  
Lokale wystawowe w Hajdukach (Centrala Gazowa) i w Katowicach, ul. Wojewódzka (dawn. Gazownia)

Informacji udzielają nasze filje.



Związek Kopalń  
Górnośląskich

**ROBUR**

SKA Z O. O.

w Katowicach

Z. GLIŃSKA.

## Szczeście w zakątku.

(Historia niezupełnie wymyślona).

Państwo Kaliccy mieszkali w Błotowie. Miasteczko, jak miasteczko, miało 3 myślowo domy niatrawe, wieżenie, sąd i ratusz. Ulce (bo tak je nazwał magistrat) były wąskie, brudne, ale za to błotniste. Ludzie nie potrzebowali wyjeżdżać do kąpieli borowinowych, mieli je bowiem na miejscu stosowane ad libitum.

Wystarczyło wyjść na rynek, żeby wrócić w obuwiu oblepionem ważkiem błotem.

Na domku — szumnie willą zwanym — państwa Kalickich, uderzał duży szyld, błyszczący wyraźnymi złotymi literami: „Apteka pod zielonym słońcem” Wacława Kalickiego. Apteka lśniła czystością. Na szkiełkach straszyły trupie główki, kryjące zazdrośnie kalomel — sodę i rumianek, w butelkach, również etykietami „trucizna” opatrzonymi, znajdował się czysty spirytus.

Pan Wacław dobrze czuł się w swoim królestwie, po całych dniach kręcił pigułki, fabrykował lekarstwa, wieczorami z doktorem i proboszczem grał w preferka i... był zadowolony.

Z panią Jadzią było trochę inaczej. Gospodarstwo domowe i miniaturowy ogródek nie wystarczały jej, nawet 4 letnia Hala, jedyna pociecha aptekarzostwa, nie zajmowała jej tyle czasu, aby go nie zostało na nudy.

I pani Jadzia czuła się bardzo nieszcześliwa.

Gazety przychodziły z tygodniowym opóźnieniem, biblioteka zaś wielkiego Błotowa składała się z kalendarzy, kroniki Rodzinnej i z niekompletnego wydania dzieł Kraszewskiego.

Towarzystwa tak jakby nie miała. Pani doktorowa cierpiała stale na flukcję, sędzina była głucha, a pp. sędziarki tak zgorzkniały w oczekiwaniu na męża, że nie można było z nimi rozmawiać.

A pani Jadzia była jeszcze niczego kobietką, o jasnych niebieskich oczach i chimurze złotych loczków nad czołem, nóżce maleńkiej (33 nr. bucików) i wypięlgnowanej rączce.

A figurka?...

I to wszystko marnowało się w Błotowie...

Był mąż, ale mąż, jak mąż, dawno przestał podziwiać wszelkie te aparycje, więcej go obchodzili 4 damy... w kartach.

Lecz p. Wacław, mimo niedźwiedziowatego wyglądu, kochał bardzo żonę i chciał jej zrobić przyjemność. Szczególniej teraz składało się na to wiele powodów.

Po pierwsze: dziesięciolecie wspólnego pożycia.

Po drugie: p. Jadzia pewnego wieczoru oznajmiła mężowi, że dłużej takiego życia nie zniesie, że jest niezrozumiana, jednym słowem... chce się rozejść.

Oj źle! — pomyślał Kalicki. — Na to trzeba zaradzić...

P. Jadzia była świetną gospodynią, nikt tak jak ona, nie robił nalewek na wiśniach i nie piekł słonych paluszków...

Pan Wacław myślał, myślał, aż wymyślił...

— Słuchaj Jadziuniu — zwrócił się kiedyś do żony — za tydzień przypada nasza 10-letnia rocznica pożycia małżeńskiego, otóż chciałbym ci zrobić jakąś przyjemność... Co byś powiedziała, gdybyśmy tak pojechali nad morze...

P. Jadzia zaróżowiła się z wielkiego wrażenia... Fantazja jej zaczęła galopować... Widziała już złotawy piasek wybrzeża, lizany przez błękitne fale w koronkę białych pian strojnie... Widziała się w cudownym kąpielowym kostiumie i prawie słyszała szmer pochlebny...

— Jaka piękna?!...

— Czybyś nie chciała Jadziu? — pyta p. Wacław zdziwiony jej milczeniem.

— Ale nie, Wacku! Owszem, cieszę się bardzo. Bardzo jesteś dobry, a kiedy pojedziemy?...

— Choćby jutro...

P. Jadzia zawałała się chwilę...

— Jutro? Muszę się spakować, przygotować rzeczy... A pokój masz?...

— Uspokój się Jadziu, wszystko jest w porządku. Pokój będziemy mieli napewno; wszystko jest załatwione.

W panu Wacławie walczyło stale 2-ch ludzi... Jeden, któryby wszystko oddał żonie, drugi, żeby to wszystko najmniej kosztowało.

Tak było i teraz... Dla oszczędności pojechano osobowym pociągiem III klasy. Ale p. Kalicki uważał, że trzeba oszczędzać... W każdym razie małżeństwo z

córeczką i walizami uplacowało się w poznańskim pociągu i... pojechało...

P. Jadzia czuła się jak odrodzona. Odświeżyła sobie kostium, kapelusz przyzdobiła jakimś zabójczymi strusimi piórami, nóżki obuła w eleganckie choć nie bardzo wygodne pantofelki, dostosowane kolorem do cienkiej pończoszki; jedynaczkę ubrała w białą sukienkę i zaopatrzona w puder, pomadkę do ust, i bajeczny kąpielowy kostium, kupiony w sekrecie przed mężem, radosnych przeczuć pełna, trzęsła się na twardej ławce przedziału III klasy.

Koła wagonu śpiewały miarową piosenkę: morze, morze, morze... P. Wacław zmęczony chrapał, Hala drzemała — a p. Jadzia marzyła.

Wreszcie po całonocnej podróży, około godziny 11-ej, z drżeniem serca usłyszała —

— Gdynia!

I od tej pory zaczęła się tragedia, bo oszczędnościowa żyłka p. Kalickiego zaczęła grać główną rolę.

Pani Jadzia zobaczywszy szereg dorożek, skierowała się do jednej z nich...

— Warjatka! — syknął p. Wacław, za trzymując ją gwałtem za rękę. — Chcesz przemarnotrawić majątek dziecka? Nic ci się nie stanie, jak się przejdiesz, ale ty, wielka dama, zaraz rozbijasz się i pieniądze w błoto wyrzucasz...

I biorąc energicznie walizy ruszył razem z przodem, za nim trzymając Halunię za rękę, szła p. Jadzia.

Okazało się, że p. Kalicki pokoju nie zamówił.

Zaczęła się wędrówka od hotelu do hotelu, od willi do willi... bezskutecznie. Wreszcie około godziny trzeciej, państwo aptekarzowie zmęczeni usiedli na plaży, zamiast wygodnych koszyków mając walizy jako fotele.

P. Jadzia z determinacją zaczęła ścierać pantofelki.

— Co ty robisz?...

— Chcę sobie przynajmniej nogi w morzu wykapać — odpowiadała ze złością, przytem pończocha mi pękła.

— Bo też sens brać jedwabne pończochy w drogę. —

— A ty byś chciał włóczkowe?

— Pewno, bo trwalsze!

— Idjota!

— Geś!

Niebo było pogodne bez jednej chimurki; morze pyszniło się lazurem, ale na

brzegu burza stawała się coraz gwałtowniejsza...

— I ty wogóle myślisz tylko o tem, jak wydawać pieniądze, a czy potem będziemy chodzić z torbami, nic cię to nie obchodzi! — gderał głosem skrzeczącym, który na p. Jadzię działał jak odgłos nie-naoliwionej pily.

Zacięła usta i starając się nie zwracać na niego uwagi, przebiegała nóżkami w słonej orzeźwiającej wodzie.

Ale wreszcie miała dość tej połowicznej kąpieli. Wyciągnęła kluczyczek od walizy i zupełnie spokojnie wzięła się do otwierania jej.

— Co ty robisz? — sarknął.

— Zmieniam pończochy, nie mogę w hotelu, zrobię to na plaży.

Podróżujące małżeństwo okrzykiem gromadka ciekawych; p. Jadzia z angielską flegmą rozpakowywała dalej walizę, p. Wacław się wściekał. Na dobitkę Hala zaczęła płakać.

— Mamusi, ja chcę jeść.

— Może byś dziecko chociaż zaprowadziła do restauracji — syknęła p. Jadzia. — Cóż ci ona zawiniła, że tak się nad nią znęcasz?

I w porywie macierzyńskiej czułości zaczęła uspokajać jedynaczkę, co jeszcze do większej pasji doprowadzało. Kalickiego.

Wreszcie walizy zostały zapakowane i p. Wacław, uginając się pod ich ciężarem, na nowo otworzył pochód.

Weszli do jakiejś podrzędnej restauracji, gdzie po godzinny wyczekiwaniu podano im kawałek mięsa, pływającego w zaskrzepłym tłuszczu i po jednym kartofelku na osobę.

— Naturalnie, pani zachciało się po dróżowaniu! — gderał p. Wacław. — Niemożna było siedzieć spokojnie w domu.

— Sam chciałeś! — nie pozostała dłużna w odpowiedzi p. Jadzia.

— Boś mi groziła rozwodem.

— To nie dla tego.

— Właśnie dla tego, że sprzykrzyło ci się życie spokojnej kobiety, chciałeś koniecznie nad morzem.

— Kłamiesz!

— Kto ja?

— Tak, ty...

Podniesiony ton niewinnie wymieniających zdań zwrócił uwagę kelnerów, i wywoływał dyskretnie uśmiechy.

Z oczu p. Jadzi potoczyły się łzy.

— Mam dość morza, jedziemy do domu! — wyszłochała.

# Bank Związku Spółek Zarobkowych

ODDZIAŁ KATOWICKI

**Katowice, ulica Warszawska 2.**

TELEFONY: Wydział dewizowy: 2194, 1357; Dyrekcja i inne Wydziały: 525, 1539, 2283, 272.

RACHUNKI ŻYROWE: P. K. K. P. Katowice, P. K. O. Katowice Nr. 300 114.

załatwia wszelkie interesy wchodzące w zakres bankowości. W nowo wybudowanym skarbcu wydzierżawia schowki („Safes”) w rozmaitych wielkościach.

**Instytucja Centralna w Poznaniu, Plac Wolności nr. 15.**

Oddziały miejskie w Poznaniu:

Plac Wolności,  
Aleje Marcinkowskiego,  
Ulica Gwarna,  
Jeżyce,  
św. Łazarz.

Oddziały w kraju:

Bydgoszcz, Lwów, Toruń,  
Grudziądz, Łódź, Warszawa,  
Kielce, Piotrków, Wilno,  
Kraków, Radom, Zbąszyń,  
Lublin, Sosnowiec,

Oddziały zagranicą:

Nowy York,  
Paryż,  
Wolne miasto Gdańsk.

ADRES TELEGRAFICZNY W KRAJU i NOWYM YORKU: „ZAROBKOWY”; W PARYŻU: „BEZETEFEB”

# HUTA BISMARCKA

HAJDUKI WIELKIE

GÓRNY ŚLĄSK



## PRODUKTY:

Surówka, koks, siarczan amoniakalny, benzol surowy, cegły żużlowe, wodór, tlen.

Żeliwo i odlewy stalowe według modeli.

Żelazo grubo i drobno ziarniste, taśmowe i fasonowe.

Stal Siemens-Martin, sprężynowa, resorowa, na hacele, na lemieszce.

Kute, żłobkowane podkowy, półfabrykat.

Zimno walcowane żelazo obřeczowe i taśmowe we wszelkich wymiarach, stal taśmowa do czółenek pokojowych (kartony).

Cienka blacha bajcowana do sztancowania, zaginania, emaljowania, do krycia dachów, cynowania, blachy do dynamomaszyn stopowe i niestopowe.

Blachy grube na cysterny, kotły, okręty, blachy Coumpound na pługi, do budowy skarbców.

Stal narzędziowa i konstrukcyjna, walcowana i kuta w prętach, taśmach, blachach i formach do budowy maszyn, samochodów i aeroplanów. Specjalne sorty dla wyrobu broni i opancerzeń pocisków, min, luf karabinowych, tarcz ochronnych, stal świdrowa do wszystkich gatunków skał.

Kutożelazne rury: gazowe, kołnierzowe, kotłowe, szlamowe, wiertnicze, do rurociągów ropnych, bez szwów, tępo spojone, samorodnie spawane do 1500 mm przekroju, kształtki i fasony rurowe.

Materiały kolejowe do budowy nawierzchniowej jak: złącza szynowe, zaciski i podkładki, szyny wąskotorowe i kopalniane.

— Zwarjowałaś?! — Tyle pieniędzy wydawać na marne?

Zaczął gorączkowo płacić i zabierając walizy, nie zwracając uwagi na żonę i dziecko, skierował się w stronę dworca kolejowego.

Za nim w kapelusiku na bakier ze smutnie rozryzowanymi piórami, wlokła się p. Jadzia, ciągnąc za sobą Halę.

— Brutal, cynik, wstrętny, kat! — szlochała.

W najgorszych humorach małżeństwo wsiadło do pociągu, idącego w stronę Warszawy.

I znów noc jazdy na twardych ławkach.

Rano znaleźli się w Warszawie.

— Uprowadzam cię, że natychmiast idę do hotelu! — zdeterminowanie oświadczyła p. Jadzia.

— Nie mam na to pieniędzy! — burknął Kalicki.

Doszli do Aleji Ujazdowskich i tam postawili walizy koło pierwszej ławki. p. Wacław wyciągnął olbrzymi plan Warszawy i zaczął go ciekawie studiować.

Pani Jadzia drzemała, głodna, zmęczona, zdjawszy pantofelki.

Naraz do p. Wacława podszedł posterunkowy.

— Co to pan, panie tego, tak ciekawie przegląda?

— A panu co do tego? — burknął zły Kalicki.

Jak to co? My szpiegów nie potrzebujemy. A umiemy z takimi ptaszkami dawać sobie radę. Niech no mi pan papiery pokaże...

W pani Jadzi obudził się w początku duch zemsty.

— A niech go zamkną, niech posiedzi za swoją krzywdę!

Ale równocześnie odezwała się solidarność żony. Zwróciła więc duże swe niebieskie oczy na funkcjonariusza policyjnego.

— Panie naczelniku, mój mąż nie zna Warszawy i chce się z mapy zorientować...

Czar niewieści podział. Policjant zasalutował grzecznie i zaczął służyć objaśnieniami, wreszcie odszedł.

A więc teraz pójdziemy zwiedzić Warszawę! — zdecydował p. Wacław.

— Razem z walizami! — ironicznie podkreśliła p. Jadzia.

— A jak ty chciałeś? Mam zostawić na ulicy, czy co, żeby nas okradli? Zresztą, nie chcesz, nie idź, ja Hali muszę pokazać miasto.

— Tatusiu! Halę nóżki boją! Hali chce się jeść!

Dziecko wyglądało okropnie w swej pomiętej i brudnej sukience.

— Nie pozwolę na to, dziecko mi zamęczysz.

— Nie zamęczę.

— Zamęczysz.

Biedna Halka, wzięta została w dwa ognie. Z jednej strony ciągnęła ją matka, z drugiej ojciec.

— Patrz rozrywają dzieciaka! — gwiżdżał jakiś andrus z gazetami.

— I! dej spokój! — splunął drugi. — Będzie nadzwyczajny dodatek. Co ty się mieszasz do fameli?!...

Wreszcie p. Jadzia puściła Halę, która splakana dreptała, ciągnięta przez ojca.

Ale p. Jadzia wzięła na kiel. Otworzono mleczarnię. Weszła do niej i oświadczyła kategorycznie:

— Ja stąd się nie ruszę, choćbyś mnie chciał zamordować. Będę czekać i najbliższym pociągiem wracam do domu. Dość mam tych przyjemności.

Postawa jej była tak zdecydowana, że Kalicki nie oponował, postawił tylko walizy i poszedł.

W kilka godzin potem, pp. Kaliccy wracali już do domu. po 3 nieprzespanych nocach, zjawili się z powrotem w Błotowie.

Naturalnie „wielkie miasto” wrzało.

Każdy z „przyjaciół” chciał się dowiedzieć, dlaczego podróż trwała tak krótko, co było powodem skrócenia jej. Kobiety szeptały na ucho, że mąż widocznie „złapał ją z amantem” i par force wywioził.

— Moja pani! — i to matka dzieciom! — wzdychała p. sędzina.

— Ja nigdy nie myślałam o niej do brze! — dogadywała p. doktorowa.

— Kobieta przyzwolta nie nosi jedwabnych pończoch! — cieniutko wtrąciła się do rozmowy p. sędzianka.

— Klimciu, a ty skąd możesz wiedzieć o takich rzeczach? — zgromiła matka 35-letnie dziewczę.

Klimcia zaczerwieniła się i uciekła.

A z p. Jadzią było coraz gorzej. Duch buntu podnosił coraz więcej różki i myśl o rozwodzie zaczęła prześladować ją coraz silniej. Zaczęła prowadzić tajemniczą korespondencję, szyć nowe sukienki, być coraz częściej zadumana.

Kalicki, choć zdawało się, że myśli tylko o pigułkach i preferku, jednak zauważył tę zmianę, i bojąc się o całość o-

gniska domowego, zaczął znów myśleć. Obudził się w nim ten drugi człowiek, hojny dla żony.

I pewnego dnia z miną tajemniczą zaprowadził żonę na koniec podwórza, gdzie leżały kupą czerwone cegły.

— Widzisz — zaczął — buduję...

P. Jadzia nie raczyła odpowiedzieć.

— Nie interesuje cię to, a to dla ciebie.

— Spoirzała zdziwiona.

— No tak! Garaż, bo chcę ci kupić auto.

— Jakto?

— No tak — tłumaczył się trochę zmieszany. — Podróż nam się niezupełnie udała, ty nie masz żadnych rozrywek... Mając auto, będziemy mogli wyjeżdżać na dalekie nawet toury... Dlatego buduję garaż.

Pani Jadzi humor się poprawił. Epi-fer? Taki szofer — to większy pan od dziennie chodzącego pilnować robotników, czekając niecierpliwie skończenia garażu.

Ale jeszcze budowa nie dobiegła do końca, gdyż p. Wacław zaczął się namyślać.

— Auto na drogi tutejsze, to straszny luksus, ile to się gum zniszczy..., a szo-fer? Taki szofer — to większy pan od właściciela, i jeszcze się upije, albo przez złość może nas gdzieś wyrzucić. Stanowczo zły pomysł. Nie, kupowanie auta nie ma najmniejszego sensu. Garaż można zużytkować na skład. Ot... konie. Konie, to co innego. Konie mniej kosztują, a zresztą ładny powóz i konie, to nawet wygląda więcej po pańsku.

A, że p. Wacław lubił wszystko robić gruntownie, więc zaczął budować stajnię.

Pani Jadzia znów przeboleła niedoszący automobil, ciesząc się na parę ślicznych koników i zgrabny powozik. Opowiadała swoim najserdeczniejszym przyjaciółkom, tj. pp. doktorowej i sędzinie, że mąż już ina upatrzoną parę koni, że obstałował powóz nowego typu i czekała z niecierpliwością, ki y stajnia znowu będzie gotowa.

Lecz na p. Wacława zaczęły przy-chodzić refleksje.

— Mój Boże! Ile to kłopotu z końmi. Broń Boże, niech dostanie jeden nosaczny, to zaraz się drugi i trzeba je będzie zastrzelić... A potem furman. Przecież w tej kaście najwięcej bolszewików się spotyka. Jeszcze zamorduje dla rabunku, dom podpali... Stanowczo z końmi to był zły pomysł.

Stajnię zmieniono na oborę, a Kalicki, żeby ułagodzić żonę, pojechał do Katowic,

aby jej kupić eleganckie futro na zimę.

Czy wybudowano oborę i czy Jadzia doczekała się futra, nie wiemy.

Złośliwi mówią, że p. Kalicki ululał się uczciwie i miast futra, kupił żonie... ciepłe pantofle.

Może to nie prawda, bo ludzie tak lubią plotki...

Jak spotkamy p. Jadzię, zapytamy ją samą o to i... opiszemy.

## 243590 kościołów w Ameryce.

Członków różnych zrzeszeń kościelnych istnieje w Stanach Zjednoczonych 47 461 558. Posiadają oni 243 590 kościołów i 214 583 duchownych. Opłaty kościelne wyniosły w r. z. okragło 500 milionów dolarów. Najliczniejszy jest kościół rzymsko-katolicki z 181 milj. członków, potem następują metodyści z 83 milj. rozbieli jednak na rozliczne grupy, północnych białych, południowych-białych i 8 grup murzyńskich. Liczni są również baptyści, mają 8 milj. członków. Prezbiterjum istnieje 2,4 milj., luterani 2,5. Dużo jest żydów 38 milj., z tego 16 milj. w Nowym Jorku, adwentystów i episkopalnych protestantów, 18 religii nie dosięga miliona wyznawców, z nich najliczniejszą jest grupa mormońska, licząca 600 tysięcy członków.

## Stan liczebny amerykańskiej Armji Zbawienia.

Nie jest ona tak liczna, jak się to często przypuszcza, oficerów ma ona tylko 3940, szeregowców 14 154. Armja ta utrzymuje w Stanach Zjednoczonych 73 hoteli dla mężczyzn i kobiet, 11 domów dla młodych dziewcząt, 95 fabryk, 8 przytulisk dla dzieci, 31 dla dorosłych (są w tem już i szpitale, 13 żłobków i 11 zwykłych szpitali.

W bieżącym roku wydała amerykańska armja Zbawienia 450 000 wieczery wigilijnych itp. Nadto posiada Armja Zbawienia około 52 tysięcy członków nieumundurowanych.

# Polska Dyrekcja Ubezpieczeń wzajemnych

## Oddział Śląski

### Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych w Katowicach.

ulica Plebiscytowa nr. 1 drzwi 30.

ul. Plebiscytowa nr. 1 drzwi 30.

Przyjmujemy do ubezpieczenia od ognia wszelkie budowle mieszkalne, gospodarcze, fabryczne z urządzeniem i zapasami, ruchomości, towary, inwentarze (martwe i żywe), krestencję etc. etc.

Bliższych informacji udziela się w godzinach urzędowych od 8—3 po poł. codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt.

# Śląskie Kopalnie i Cynkownie

Spółka Akcyjna.

Adresy telegraficzne:

Oddział w Lipinach: Zinkgesellschaft Lipiny/ Oddział w Katowicach: Zinkwerke Katowice,

**Dostarczamy:**

**Węgiel kamienny**

z jednocz. kopalń MATYLDY i ANDALUZJI.



**Kwas siarkowy, Kwas siarkawy**

**Cynk nieoczyszczony**

**Pył cynkowy, Pył cynkowy zawierający kadm.**

z huty SILESIA, z huty KUNIKUNDY i z huty ROSAMUNDY



**Blachy cynkowe**

**Cynk okrągły, Cynk prasowny**

z walcowni SILESIA i KUNIGUNDY



**Iskrzyki i dolomit**

z kopalni CECYLJI

1854



**Litopona odpadki, zaw. kadm., Siarczan cynku**

z GORNOŚLĄSKIEJ FABRYKI FARB, Ligota Pszczyńska G.Śl



## Muzyk — poeta

(w 75-cio lecie Fryderyka Szopena, urodzonego 2. II. 1810, zmarłego 1849 r.)

O Szopenie winni pisać poeci! Jest bowiem muzykiem-poetą, sięgającym tonami w głąb dusz, gdzie oddźwięk znajduje różne tonom słowo, mówiące, jakby obrazem o tej bogatej duszy, najbliższej poecie...

Słowem, jakie potrafi sięgnąć po dostateczną, dosadną barwę, zmieniającą melodię szopenowską w przeróżne stylizacje, jakie śladem Chopina, tworzyła poezja: Bohdana Zaleskiego, Słowackiego, ba i wielu młodych (Ujejski, a obcych też bez liku! włoskich, niemieckich, francuskich i angielskich poetów utwory czytaliśmy, na muzyki autora ballad, etud itd...) i do dzisiejszego dnia łączących muzykę autora polonezu S-dur, ze swoim... utworem!

Romain Rolland, napisał najlepszą książkę o Beethovenie, u nas, Stanisław Przybyszewski dał piękną, może jedyną o Szopenie interpretację („Szopen a naród”), sięgając poetycznym słowem po poezję — muzykę Fryderyka Szopena.

W muzyce Szopena jest olbrzymia moc nastrojów, które jęczą, tony bezpośrednie ze słowami, lubo ich sam autor nie napisał, ale jakie każdy „rymuje” lub „dośpiewa” sobie w duszy, o ile go nie stać na poezję miary równej, boć poza melodią, choćby czterech sonat, kryje się zawsze ta plastyka, nieodzowna w słowne ujęcia aby wygrać sobie taką sonatę C-moll (op. 4.), (która podobno Wagnerowi poddała styl do: „Trystana”, a i Ryszardowi Straussowi „pomogła” w jego sonacie (op. 18...) lub drugą: B-moll (op. 35.), gdzie sławny: „Marsz pogrzebowy”, dał Ujejskiemu impuls do poematu, znanego również wszędzie, jak i utwór Szopena... (znaję Ujejskiego utwór i Niemcy z przekładu — dzięki S. Przybyszewskiemu, sp. Ryszarda Dehnela, który włożył w przekład naprawdę struny swojej poezji wielkiej, aby utwór Ujejskiego oddać z miarą szopenowskich tonów!)

A cóż dopiero mówić o nokturnach, preludjach, balladach, scherzach, walcach, polonezach... mazurkach, które są popro-

stu poematami, głoszącymi każdemu (boc i obcy to zrozumiały łatwo!) bogactwo polskiego muzyka-poety! Są w nich te nieskończone wielkie dzieła, które stworzył genjusz muzyki polskiej, aby stanąć na równi z Wagnerem, Beethovenem, Bachem czy Strausssem (Ryszardem!), nie mówiąc o włoskich, francuskich, czy innych muzykach, znacznie mniejszych od Szopena...

Poezja wszędzie tam przemawia tym bogatym stylem, różnorodnością melodyjną, wytwornością, nade wszystko tem ujęciem w formę skończoną, gdzieby utwór stał się klasycznym wyrazem sztuki, jakie Szopen — jak rzadko którzy z artystów, znał granicę własnego talentu, do którejby go wiodła liryka i ten wdzięk tonu — stylu, mierzącego skalę muzyczną na równi ze skalą duszy! Stąd nie zostawił Szopen utworów niedokończonych, lub pośpiesznie napisanych, tych pseudo-utworów, alisci dał same arcydzieła, tej formy i treści harmonicznej w wykonaniu trafnie określania: mistrzynią jego uczuć wzniosłych było zawsze prawdziwie piękno!

Piękno to u Szopena płynęło z morza tonów, gdzie nieskończoność, jak u Bacha, wyrzacała bezmiar skarbów głębi, którą Szopen zamykał w fortepianowych lirykach, jakich 74. oznaczył sam mianem „opus”; stosunkowo nie wiele liczbowa, ale jakościowo są one niemal dla nas tem wszystkim, czem muzyka Bacha, Beethovena, Wagnera, dla Niemców! Dają bowiem całokształt twórczy, a równocześnie skończony, z którego niewyczerpane źródło może służyć pokoleniom do następnego kontynuowania tej muzyki Szopena!

Weźmy preludja, te arcydzieła miniatury muzycznej, bliskie podobnym tematom u Bacha, ale jakżeś nieskończenie bogatszych dla ucha polskiego, które może w nich szukać i poważnej melodii chorału obok ludowych motywów, wyznań samego muzyka-poety obok przejawów muzyki nawskroś dzisiejszej, dążącej do dyssonansów, aby nimi wywołać przepożętnie wrażenia... (preludium A-mol tak charakterystyczne w ewolucji twórczej Szopena!)

Mazurki są u Szopena najbogatszym wykwintem jego muzyki; posadamy ich 50, a każdy, to strofa, ludowa, może najpopularniejsza w poezji-muzyce Szopena. Jest tam tyle kolorystyki, tyle sposobów, wywołujących różne cieniowania czy stylizacje, że istotnie mogą same już tworzyć: „Album polskiej muzyki”, ilustrujące w pełni cechy muzyki naszej i jako narodowej. Mazurki te w analizie mogą naprawdę obudzić ten sam podziw, nawet u mniej muzycznych, jaki wyraził po raz pierwszy w Niemczech dla nich, Dr. J. Schreyer: w studjum, z drobiazgowością uczonego ale też z bogactwem komentarzy dobrze wyczuwającego muzykę Szopenistę. („Von Bach bis Wagner, zur Psychologie des Musikhörens. Lipsk: 1904.

Szopen dowodzi, że twórczość nasza jest wynikiem olbrzymiej ewolucji duchowej, dochodzącej do tej miary genjusza, na który pracują wieki, aby go wydać, ale u narodów muzycznych i wysoce artystycznych natur wśród siebie.

Śpiewność słowiańska, to szczere, typowe u Słowian zamilowanie do muzyki, a wśród Polaków, nasza zdolność i umiejętność łatwego określania stanów uczuć, (posiadamy sporo wyrazów wyłącznie naszego słownika na określenie rdzennych stanów bólu czy radości, żalu czy rozkoszy!), wyraziła się u Szopena pełnią — powiedzmy: najwyższej skali natury polsko-słowiańskiej! Dala muzyka-poeta, jakim jest Szopen, jakim byliśmy w dobie romantyzmu, czy przedtem wiekach XVI, XVII. a i XVIII., krocząc na drogach rozwoju, ku ideałowi, jaką to drogę odbywa przed genjuszem, naród, aby urobić środowisko, zanim zaś wyjdzie, cudna latorośl: artysta!

Słuszne historych lit. pol. S. Tarnowski, Szopena, wcielił do uzupełnienia literatury polskiej romantycznej, jako poetę-muzyka, który do pełni twórczości Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Zaleskiego, Norwida itd., będąc ich „bratem” poetę, lubo mówił do duszy polskiej... tonami, ale w słowach, bez słów... — — —

Jichał Asanka-Japoll.

Kraków, 3. 11. 1924.

## Koszule do czytania.

Pewien amerykański fabrykant wyrobów papierowych obmyślił koszule, które mają gors z 7 arkuszy papieru. Codzień można jeden arkusz zedrzeć i w ten sposób udawać przed światem, że się codziennie kładzie czystą koszulę. Ale wynalazca tej wielce praktycznej koszuli nie zadowolili się swoim wynalazkiem i udoskonalili go w ten sposób, że na odwrotnej stronie każdego arkusza gorsu drukowana jest bardzo ciekawa, sensacyjna powieść. Więc gorliwi czytelnicy tej powieści, nie mogąc się doczekać dalszego jej ciągu, zdzierają po dwa lub trzy arkusze. Popyt na koszule wzrósł do tego stopnia, że wynalazca nie mógł nadażyć z wykonaniem zamówień. Koszule są numerowane, aby każdy czytelnik wiedział, w którym numerze szukać dalszego ciągu powieści. Właściciel patentu ogłasza nieustannie nagrody za najciekawsze powieści i nowele.

O ile cała historia nie jest blagą...

**Chemiczna  
pralnia, farbiarnia i pralnia  
męskiej bielizny**  
z najwyższym pożytkiem  
**Józefa Kottera**  
Bielsko-Biała  
zapewnia najstaranniejsze i najszybsze  
wykonanie wszelkich zleceń.  
KATOWICE:  
521 ulica Dyrekcyjna 6.  
KRÓLEWSKA HUTA:  
ulica Rynekowa 1.  
SIEMIANOW CE:  
Jan Jędrys, ulica Bytomska.

Zakłady czyszczenia dywanów.

# GWARECTWO WATERLOO

## Kopalnia węgla Eminencja

poczta Załęże — powiat Katowice G. Śl.

Adres telegraficzny: Kopalnia Eminencja Załęże — Telefon: Katowice nr. 37 i 595

Stacja kolejowa: Katowice, bocznica kopalni Eminencji.

## WĘGIEL

o długim płomieniu pierwszej jakości  
w gatunkach zwykłych i kombinowanych.

# Giesche

WĘGIEL, CYNK  
BLACHA OŁOWIANA – OŁÓW – RURY OŁOWIANE  
KADMIUM, KWAS SIARKOWY

GIESCHE SPÓŁKA AKCYJNA  
**KATOWICE**  
UL. PODGÓRKA 4

# Teatr w Ameryce.

**Zarabiają autorzy i aktorzy. Częste bankructwa teatrów. Uposażenie autorów i autorek.**

Wychodzące w Nowym Jorku pismo „American Magazine” zamieściło artykuł pod tytułem: „Kto zarabia w teatrze?”, rzucający ciekawe światło na stosunki panujące w teatrach amerykańskich. Oto ciekawsze ustępy:

Największe zyski z teatrów — stwierdza „Amerikan Magazine” — czerpią autorowie i aktorzy. Niektórzy głośniejsi pisarze dramatyczni nie chcą się narażać na ryzyko powodzenia, i żądają z góry ryczałtowej kwoty za sztuki, wręczone dyrekcjom. Tak np. stała taksa lepszego pisarza jest 10 000 dolarów za rękopis sztuki, oczywiście z dalszemi tantiemami od jej przedstawień po 12 proc. od dochodu brutto. Inni żądają tylko 1000 do 2000 dolarów. Inni autorowie nie zgadzają się na stałe honorarium, podejmują ryzyko, układając się o tantiemy, które w każdym mieście amerykańskiem są inne, stosunkowo do średnich liczb frekwencji. Tak np. za wystawienie sztuki w Chicago autorowie żądają większej tantiemy niż w Nowym Jorku, ponieważ doświadczenie poucza ich, że w Chicago sztuki prędzej schodzą z repertuaru. Normalna jest rzeczą, że autor po napisaniu sztuki, na której powodzenie liczy, organizuje własną trupę i staje się na czas jej grania w ten sposób dyrektorem teatru. Przedsiębiorstwa tego rodzaju kończą się nieraz bankructwami, w większości wypadków jednak dają dobre zyski.

Według „American Magazine”, jeden z młodszych pisarzy dramatycznych zarobił na trzech sztukach, wystawianych we własnym zarządzie, 300 000 dolarów. George Brodahurst za sztukę „The man of the hour” zainkasował w teatrach Ameryki północnej 180 000 dolarów, z czego czysty dochód wynosił 120 000 dolarów.

Augustowi Thomasowi przyniósł dramat „Arizona” 175 tys. dolarów, Marcinowi Mayo widowisko „Polly of the Circus” 150 000 dolarów. Największy sukces jeszcze przed wojną odniosła w Stanach Zjednoczonych sztuka Henry'ego B. Harrisa „The Lion and the Mouse”, na której autor zarobił na czysto 800 000 dolarów współpracownik jego, Charles Klein, 300 tysięcy dolarów.

Wybitniejsi aktorzy zazwyczaj nie pobierają stałej gaży. Umowy zawierane są najczęściej o poszczególne role. Przeważnie cena większej roli wynosi 160 dolarów na tydzień, mniejsze opłacane są po 20 do 30 dolarów. Oczywiście wielu aktorów przekracza znacznie tę normę. „Pierwszy amant” nie gra poniżej 900 dolarów tygodniowo, aktor z marką trudno pozyskać taniej jak za 600 dolarów. Dyrekcje teatrów w Ameryce radzą sobie przeważnie w ten sposób, że do sztuk angażują nowicjuszy i ćwiczą ich na próbach, by w ten sposób uniknąć wysokich kosztów.

Typowy kontrakt amerykański zawiera zawsze postanowienie, że aktor obejmujący rolę, zobowiązuje się odbyć w niej 30 do 50 prób, a więc przysię jego honorarium, na które otrzymuje odpowiednią zaliczkę, przed wykonaniem roli zajmuje około dwóch miesięcy czasu. Płace aktorek są jeszcze większe, ze względu na koszty kostiumu otrzymują one nieraz po 1000 dolarów tygodniowo. Budżet przeciętny, ustanawiany do każdej sztuki z osobna, z którą po większej części trupa objeżdża następnie wszystkie większe miasta Stanów Zjednoczonych, wynosi mniej więcej około 2000 dolarów tygodniowo.

## Genjusz pamięci.

Starożytni opowiadają o Temistoklesie, że nie zapomniał niczego, co raz choćby tylko pobieżnie przeczytał, że wspomnienia jego były tak żywe, że n. p. przypomnienie odniesionej rany — sprawiało mu ból. Mnemotechnika była rozpowszechnioną dawniej umiejętnością.

Pisma amerykańskie rozpisują się obecnie o niejakiem Jo Andersonie, aptekarzu z Chatanoogi, który ma pamięć tak fenomenalną, iż nie zapomina nigdy twarzy, raz choćby widzianej. O tysiącach ludzi umie podać najważniejsze daty, jak urodzenia, ożenku, zawodu, rodziny, majątku. Nie zapomina też nigdy rzeczy przeczytanej. Prowadzi wprawdzie książkowość, ale właściwie niepotrzebnie, na pamięć bowiem umie swym podwładnym powiedzieć każdą pozycję. Całe miasto zwraca się do niego aptekarza o informację, nigdy niezawodzącą. Umie też liczyć na pamięć i mnożyć czterocyfrowe kolumny w pamięci — to dla niego drobnostka.

## Miasto bez „przynależnych”.

Na 5,6 milionów mieszkańców Nowego Jorku 2 miliony nie urodziło się w Stanach Zjednoczonych, 2,3 milionów nie urodziło się w Nowym Jorku samym, a tylko 1,3 miliona jest naprawdę rodowitych Amerykan, lecz nie wszyscy są nowojorżaninami.

## Fryzura „Wiszi-Wuszi”.

Tak się nazywa najnowsza kreacja paryskich artystów „od włosów”. Na pierwsze wejrzenie można by sądzić, że modę tę przeniesiono żywcem do Paryża z jakichś południowych egzotycznych krajów, takie bowiem wrażenie wywołuje przeciwstawienie gładkiego

przedziału grubym kędziom, skręconym koło uszu. Jest to jednak arcydzieło, które przy pomocy niezliczonych grzebyków znalazło wyście z podrastających już obciętych włosów niemożliwej dziś fryzury.

## Dlaczego medycy praskie noszą długie włosy.

Niedawno wywołała na praskim wydziale medycznym niemieckiego uniwersytetu prawdziwe oburzenie jedna ze słuchaczek trzeciego rocznika. Koleżanki zerwały z nią poprostu stosunki. O cóż poszło? Oto obcięła sobie włosy. Pokazuje się, że praskie studentki Niemki, nie obcinają włosów na przekór obecnej modzie dla zaznaczenia, że są czymś innym, lepszym, niż inne zjadaczki chleba. Nosiły one obcięte włosy tylko tak długo, póki uchodziło to za coś ekscentrycznego, kiedy ostrzyżona główka damska równoznaczna była z pojęciem studentki. Z chwilą jednak, gdy moda ta upowszechniła się — zapuściły medycy długie włosy, w rozmowach zaś towarzyskich konsekwentnie nie poruszają tematów naukowych, pozostawiając tę dziedzinę laickom, lecz omawiają takie tematy, jak zagadnienia mody, krawieczynę i sztukę gotowania.

Trudno wstrzymać się od przytoczenia starego przysłowia: „Długie włosy — krótki rozum”.

## Nowy drapacz nieba w Nowym Jorku.

W Broadwayu budują obecnie najwyższy drapacz chmur, który posiadać będzie 80 pięter. Budowniczy tego kolosu jest twórcą najwyższej dotychczasowej budowli. Woolworth Building, który posiada 51 pięter i wysokość 792 stóp. Trudno będzie pobić ten nowy rekord amerykański.

# STAL BAILDON

## Wytwory stalowe:

Stal narzędziowa oraz szybko tnąca / Stal niklowa i chrom.-niklowa / Stal do łożysk kulkowych / Stal srebrzysta / Stal taśmowa gorąco i zimno walcowana / Pniaki kowalskie ze stali chromowoniklowej oraz SM stali / / / / / / / / / / / / / /

## Odlewy stalowe:

Świdry spiralne ze stali narzędziowej i stali szybko tnącej / Nożyce / Świdry węz. i do wierceń w kamieniu / Sprężyny do aparatów pociągowych i zderzaków / Blacha ze stali odlewowej / Siemens Martin stal

# HUTA BAILDONA SPÓŁKA AKCYJNA

Dąb koło Katowic :: Katowice, Skrzynka pocztowa nr. 409.

# Górnośląska

## Fabryka Materiałów Wybuchowych

### Górne Łaziska (G. Śl.)

---

Poleca wszelkiego rodzaju materiały wybuchowe

jak:

do kamieniołomów, kopalni  
węgla, wapienników  
i karczowania.

---

Specjalność:

Wszelkiego rodzaju bradyty

:-: powietrzne i amonity. :-:

## Noc filmowa.

(Z natury.)

W Berlinie, jak wiadomo, powstało za miastem specjalne „miasto filmowe”, gdzie dokonywane są zdjęcia obrazów, których treścią są przygody na całym świecie. W mieście tem są budynki wszystkich krajów, stylów i epok. Są to budynki prowizoryczne, zbudowane do fotografii, na jeden raz, na jeden dzień.

Do zdjęć tych nieraz potrzebne są tysiączne tłumy statystów. Wytworzyła się stąd specjalna gałąź zarobków, które wielkiem powodzeniem cieszą się z konieczności wśród niezamożnych, głodujących nieraz rzesz uchodźców rosyjskich w Berlinie, dla których często owe statystowanie w filmach jest jedynym środkiem utrzymania. Rzesze te błogosławia panującą obecnie w Niemczech modę na obrazy z życia rosyjskiego, które powoli wypychają z rynków niemieckich obrazy z życia amerykańskich cow-boyów. Przejadły się już one dawno wszystkim.

Feljetonista Lew Urwancew w rosyjskiem piśmie berlińskim w ten sposób opisuje takie zdjęcie filmowe, ciekawe nie tylko ze względu na to, w jaki sposób się je dokonuje, ale także ze względu na stosunki zakulisowe, jakie panują w wielkim „świecie filmowym”.

Damy: wysokie, maleńkie, chude, okrągłe, przystojne... i takie sobie, blondynki, ryże, malowane, brunetki, w różnych wiekach, generałowe, artystki, żony, córki, ciocie, damy ze światła i zwyczajne damy, poważne, uśmiechnięte, mowne i milczące, z dołeczkami na policzkach. Umieją tańczyć. Mówią po niemiecku i po francusku. Toalety „od i do”. Cena za zdjęcie siedem marek rentowych, dwanaście i jak marzenie... dwadzieścia. Przejazd i posiłek na koszt własny.

Kawalerowie: wielkoludy, karły, siwł, łysi, ulizani, generałowie, ma-

rynarze, gwardyjscy oficerowie, kozacy, poeci, pisarze, prawnicy, atleci, artyści, aktorzy, baronowie, tatarzy, żydzi, gruzini, pół niemcy, czwósci i brudni, poważni i weseli. Mówią wszystkimi językami, najgorzej po niemiecku. Fraki i smokingi wynajęte, koszule krochmalone, często zupełnie bez kołnierzyka i mankietami, buty lakierowane, lecz bez podeszew. Ceny te same jak i dla nań.

Piesek: szczeka, przymila się, podaje łapkę, śpi na rozkaz na fotelu. Cena od trzydziestu marek z obiadem, mleczkiem i przejazdem extra. A często i drożej.

Wszyscy oprócz pieska mają jeden łączący ich cel: dostać nie siedni marek lecz dwanaście, ale teraz będzie zdjęcie nocne, więc powinni dać dwanaście. I to dobrze, że zdjęcie będzie na ulicy. Znaczący to, że można nie ubierać się w toalety, niepotrzebne są mankiety, nie potrzeba na prędce czerować pończoch. I kostjomy daje dyrekcja, wydatków dodatkowych oprócz kosztów biletu kolejowego — żadnych. Przybyć trzeba na miejsce zdjęć, gdzie wybudowano specjalną ulicę rosyjską, punktualnie o godzinie czwartej rano. Dlatego z Berlina trzeba wyjechać o trzeciej. Wielu umówiło się, ażeby się spotkać na dworcu. Pod zegarem. Przyszli z walizkami i paczkami. Mądrzejsi przygotowali sobie bułki i wazelinę do mycia twarzy. Rozeszła się pogłoska, że ktoś ma wódkę, a ktoś inny koniak. Każdy ma „Zettel” to jest papierek, uprawniający do zdjęć i otrzymania pieniędzy, lecz rzadko kto ma pieniądze. A pieniądze będą potrzebne. W ciągu nocy przyjdzie głód i zachce się przegryźć coś w kancyntynie, pożyczają więc jeden od drugiego, dając często w zastaw ów „Zettel” biały. Mówią, że reżyser dobry człowiek i nawet mówi po rosyjsku jedno słowo: „ponimajesz?” (rozumiesz?). Zeszłym razem podczas zdjęć w ogrodzie zoologicznym reżyser nawymyślał wszystkim od „wielbądów”. To bardzo przykro, a odpowiedzieć nie

nie wolno. Może wyrzucić i siedem marek przepadło. Zostali więc wszyscy wielbładami.

W wagonie trzeciej klasy głośno, hałaśliwie, dużo dymu, wszyscy mówią i wszyscy palą cudze papierosy. Niemcy oglądają jadących i uśmiechają się.

Mówią naturalnie o ostatnich zdjęciach i jeden nie pozwala drugiemu przyjść do słowa:

— Nie, ale czy pan wie?... Żądali tylko młodych, a pierwsza zgłosiła się dama w pewnym wieku. I wzięli! Czy to nie dziwne? Że za każdym razem biorą naszego „pięknisia”, to jest zupełnie zrozumiałe. Ma nos jak utoczony i oczy jak dwie wiśnie. Generałowa szczyli się ciągle swemi sukniemi, a przecież to wszystko już kilka razy nicowane i zmieniane. Baron ma piękną figurę. Gdyby on tak miał kilka lat mniej... Ale, ale, dlaczego przestał chodzić na zdjęcia adwokat?

— Jakto, nie wiecie?... Bardzo zwyczajnie. Dali mu raz „rolę” i od tego czasu stał się taki dumny... ze statystami nie zdejmują się więcej, czeka aż mu znowu dadzą rolę.

Przyjechali.

Wyciągnęła się długa wstęga od dworca aż do miejsca zdjęć. Mokro. Na drodze w lesie kałuże na każdym kroku. Śpiącego pieska, jak arystokratę, niosą na rękach. Szczęśliwy. Trzydzieści marek dostani. I nie nie odliczą na podatek. Psy nie płacą „steuerów” od dochodów.

Przed bramą tłum. Przyjechali do roboty także niemieccy statysty. Wszystko zmieszało się w jedną masę. Każdy po kolei wsuwa do okna kontrolera biały „Zettel” i dostaje blaszkę z numerem. Następnie blachę tę trzeba pokazać stróżowi, ażeby dostać się na podwórze.

Dwa rzędy baraków. Na lewo widać pociągającą kancyntynę. Tymczasem jeszcze jej nikt nie potrzebuje. Wszyscy idą na prawo. Na podwórze wjechał automobil. Przyjechał „bohater”. Młody artysta, rzeczywiście piękny mężczyzna. Czy może on się mieszać

z tym szarym tłumem? Pieska zaniesiono do ciepłego baraku.

W barakach są garderoby statystek i statystów. Wielkie, ogólne i małe. Palić wszędzie zabroniono, nawet na dworze. Lazaret z czerwonym krzyżem. Podczas zdjęć często zdarzają się nieszczęśliwe wypadki.

Robi się ciemno, pomocnik reżysera popędza wszystkich. Ale jak mogą odbyć się zdjęcia podczas takiego deszczu? Bańki na kałużach wskazują wyraźnie, że pada deszcz.

Deszcz wzmacnia się.

Strasznie głupi nastrój. Zeszły, razem reżyser zaczął krzyczeć na statystę, poważnego człowieka we fraku za to, że miał pomięty gorszy koszul. O mało go nie wygnął. Tymczasem człowiek ten nawet nie potrzebował porządnego gorsu, gdyż scenarzysta wymagał tylko od młodych, którzy tańczyli na pierwszym planie, aby byli ubrani elegancko: starsi chodzili z tyłu poza kolumnadą i prawie nie było ich widać. I pociągła historia o zmutej koszuli? Te same wieczne przypiekanie się do charakterystyki, zwłaszcza jeżeli zdjęcie ma przedstawiać noc. Cienie. Ale cóż... każdy po kolei siada na krzesło i oddaje się w ręce fryzjera. Jeden, widocznie z aspiracjami, sam maluje sobie twarz w lustro. Odejdzie na krok, popatrzy się, skrzywi nos, znowu podchodzi i smaruje w dalszym ciągu.

Inny, widocznie fachowiec, wziął trochę czerwonej farby na palce, maznął raz i drugi... gotowe.

Trzeba po błocie przejść do baraku, gdzie wydają kostjomy. Porządek godny podziwu. Wszystko ponumerowane. Na podłodze leżą zawiniątka już z góry przygotowane: burka albo szynel, długie buciska, szerokie spodnie i czapki chłopięce albo papachy. Wszystko ściągnięte paskiem skózanym. Każdy bierze zawiniątko i idzie z powrotem. Wszystko można włożyć na ubranie, nie trzeba się rozbierać, tylko, niech diabli wezmą, buty mają w środku gwoździe. Nie można stąpać. Dali tekturowe wkładki, ale

## Zachodnio-Polska Budowa Telefonów

## Zapote!

WŁAŚC.: JÓZEF PIĘTKA

KATOWICE, ul. Sienkiewicza 24.

Telefon Nr. 2155.

Telefon Nr. 2155.

Sprzedarz wszelkich aparatów i łącznic telefonicznych zwykłych, całoi pół-automatycznych dla ruchu pocztowego i prywatnego oraz aparatów do urządzeń sygnałowych dla kopalń i hut.

Sprzedaz słupów telegraficznych i wszelk. narzędzi i materiałów budowlanych, jak: konsole, dźwigary, haki izolatorowe, telefoniczne i t. p.

Projektowanie rozbudowa i przenoszenie istniejących oraz urządzenie nowych central i sieci telefonicznych. Sprzedaż wszelkich kabli telefonicznych dla sieci podziemnych, nadpowietrznych i wykonywanie wszelkich robót kablowych.

## Praktyczne podarunki na święta!

Pyjamy, płaszcze kąpielowe, koszule wierzchnie, garnitury, spodnie, krawaty, ochraniacze kołnierzykowe, szelki, portmonetki, walizki skórzane, pledy angielskie do podróży, nesessery dla podróżujących, kalosze

**FRIEMEL**

KATOWICE  
DYREKCYJNA 10

# MAKS WEICHMANN

**MYSŁOWICE**

POCZTOWA 4 - TELEFON 1914

**KATOWICE**

Św. STANISŁAWA 4 - TELEFON 1952

**MIĘDZYNARODOWE  
BIURO SPEDYCZYNE**

nie pomaga, gwoździe kaleczą no-  
gi w dalszym ciągu.

Około godz. 5 już wszystko było w  
porządku. Wszyscy przygotowani jak  
do bitwy czekali na zdjęcie.

Wszyscy czekają na sygnał. Damy  
na chwilę wtykają noski swe w okna.  
Deszcz.

Ciemno. Ktoś powiedział, że trzeba  
czekać dotąd, aż przejdzie  
deszcz. A temczasem nadzieje nie  
wielkie. Chodzą ludziska po garderob-  
nach, popychają się, poprawiają kostju-  
my. Zwłaszcza damy. Włożyły one  
pantofelki grube pończochy welnia-  
ne, które spadają co chwila. Każda  
zuka kawałek sznurka. Suknia leży  
przywo. Chustka źle zawiązana. A to  
czesanie?! Szczegóły, detale. Jedna  
blondynka zauważyła, że bardzo jej do-  
warzy w czerwonej chustce. Oznaj-  
miła o tem głośno, co chwila przegła-  
dała się w lustrze i podmalowuje pomad-  
ką usta czerwone.

Pierwsza godzina oczekiwania prze-  
szła jako tako. Każdy miał o cze-  
niś pomówić i czas jakoś upłynął. Zbie-  
rano się grupami w korytarzu, rozma-  
wiano.

O godz. 7-mej wszystkim zachciało  
się jeść i napić kawy. Zjawiły się „bu-  
tlersznicy” i „sztulcheny”, ktoś dzwie-  
nając fenigami w kieszeni poszedł do  
kantyny. Czas zaczął się dłużyć. Naj-  
przód liczono godziny, teraz już minu-  
ty. W garderobie ogólnej, jak damskiej  
tak i męskiej, stoją tylko stołki. Z po-  
czątku zmęczeni się chodzeniem, po-  
tem stanieniem, wreszcie zmęczono się i  
siedzeniem na twardych krzesłach. Na  
dworze noc i deszcz. Gdzieś daleko  
za oknem widać płonącą latarnię. Nie  
więcej nie widać. Wszyscy ziewają.  
Rozmowy ucichły. Opowiedziano so-  
bie już wszystko. Nikt nie wle, kiedy  
zacznie się zdjęcie. Minęła godzina  
— ta... Ktoś powiedział, że w garde-  
robie nr. 8 stoi wielka otomiana, ale ze-  
brało się tam tyle ludzi, że nie wpu-  
szczają nikogo. Są i tacy, co w kan-  
tynie grają w karty.

Dziesiąta — bez zmiany. Jedenasta  
— to samo.

Krzyki jakieś wołają wszystkich na  
zdjęcia. Głośny krzyk reżysera. Wszy-

stko poruszyło się. Wszystko podnie-  
cone. Ruszono przez podwórze, wiel-  
kie jak pole ku „ulicy rosyjskiej”.  
Słabe światło latarni. Idzie się z tru-  
dem. Kałuże, kamienie, deski, szyny,  
znów kamienie... trzeba uważać, żeby  
się nie wyciągnąć jak długi. Nawpół  
rozebrane budowle: front hotelu, ame-  
rykański drapacz nieba. Z boku okręt  
piracki na burzliwym morzu, bez mo-  
rza. Tu cała geografia i historia wszy-  
stkich wicków.

Wreszcie i ulica rosyjska: szynk,  
cerkiew, komisariat policji i pałac księ-  
cia. Olbrzymie reflektory i parasol, jak  
grzyb, pod którym stoi reżyser z po-  
mocnikami, operatorzy z aparatami i  
cała falanga pomocników technicznych.  
Spędzili tłum w jedno miejsce i ogłosili,  
że zdjęcie w tych warunkach jest nie-  
możliwe. Trzeba jeszcze poczekać.

Znów podróż do baraku. Przypomi-  
nało to ucieczkę żydów z Egiptu z tą  
różnicą, że kałuże nie chciały się roz-  
stępować przed tym tłumem. Nie bar-  
dzo zważano na nie. W garderobie Nr.  
8 jest lepiej niż w innych. Jedna pani  
położyła się na miękkiej otomianie przy  
ścianie. Z brzegu siadło sześciu męż-  
czyzn. Na podłodze rozestano burki i  
kożuchy. Siedzą i leżą. Zajęto także  
krzesła. Reszta stoi. Była kolejka  
wódki, był i koniaczek. Nastrój pod-  
niósł się. Jeden z oficerów zanucił pio-  
senkę kozacką. Inni pomogli. Dobrze  
śpiewali. Ładnie. Jeszcze... jeszcze pio-  
senka... jeszcze wódki i kanapek. Je-  
dna z panien zaczęła tańczyć taniec  
rosyjski, lecz nie było miejsca. Wyo-  
braźmy sobie miejsce wielkości chustki  
do nosa.

A!... a!... krzyki brawa. Wechodzi  
reżyser. Wypili z reżyserem. Był nie-  
dawno w Moskwie... Wszyscy zasy-  
pali go pytaniami. Pił i opowiadał,  
wszyscy słuchali. Zaśpiewali znów ro-  
syjską piosenkę. Podobała mu się i on  
się wszystkim podobał. To zupełnie in-  
ny, niż ten w zoologicznym ogrodzie,  
co wszystkim nawymyślał od wielbłą-  
dów...

Północ — w ósmym numerze gwar  
i wesele. O pierwszej to samo. A o  
drugiej wszyscy poczuli się zmęczeni.

Damom zamykają się oczki, kawalerja  
kiwa się.

O trzeciej — kompletny upadek...  
umilkły pieśni, języki, opustoszone bu-  
telki i paczki. Pozostała jedynie waze-  
lina w stoikach.

Około piątej znów wypędzono tłum  
na zdjęcia. Jednemu dali pochodnię,  
drugiemu stary karabin, zadzwiała  
szablę. Zasyczały reflektory. Tłum u-  
stawiono na miejscach. Zapalono staty-  
stom pochodnie. Rozległ się warkot  
aparatów. Reżyser wrzeszczy przez  
tubę. Tłum powinien przebiegnąć przez  
ulicę, trzymając w ręku pochodnie i  
groząc bronią. Przebiegli trzy razy.  
Bardzo dobrze! Potem przejechał ak-  
tor — piękniś w powozie z pieskiem na  
ręku. Też trzy razy.

Zdjęcie skończone. Fryzjer biega w  
tłumie i zrywa wasy i brody... Jedne-  
go pociągnął za prawdziwą brodę, lecz  
przeprosił natychmiast. Pogaszono po-  
chodnie i rzucono do komórki karabiny  
i szablę.

Wszyscy spieszą się. Każdy wycie-  
ra twarz. Wkłada palce w wielką bań-  
kę z wazeliną, smaruje i wyciera papie-  
rem. Każdy dostał dwa arkusze mięk-  
kiej bibuły, ale każdy tylko dwa arku-  
sze. Zamiast ręczników. Przebrano się  
i odniesiono kostjomy do garderoby.  
Potem ogon przed kasą. Znów wy-  
jątkowy porządek. Każdy posiadacz  
blaszki otrzymywał dziesięć marek 90  
fenigów: jedna marka 10 fenigów  
„steuer”. Piesek dostał całe 30 marek.

Zaczęło się troszeczkę rozwidniać.  
Wszyscy idą do dworca. Zaspani, zmę-  
czeni, z resztkami charakterystyki na  
twarzy, lecz z wielką radością... w kie-  
szeni.

Idzie pociąg, pierwszy ranny po-  
ciąg, przepełniony robotnikami i han-  
dlarzami. Każdy pociąga fajkę po mo-  
cnym, zdrowym śnie i kawie porannej.  
Jadą do pracy. A ci zmęczeni ludzie  
z roboty.

Pociąg przybył do Berlina około  
godz. 8-mej rano. Od chwili, kiedy  
wyjechano na zdjęcia, minęło akurat  
18 godzin... Głupstwo! Przecież pra-  
cowało się tylko jakieś pół godziny,  
reszta czasu poszła na czekanie.

Dobranoc, wielcy artyści filmowi!

**FABRYKA STEMPLE**  
i Zakład rytowniczy  
**Stempel-Fabrik**  
**Gravier-Anstalt.**  
**WEBER & LEOPOLD**  
Katowice ul. Kościuski 9.

**Podarki gwiazdkowe!**

**Gry towarzyskie**

dla młodzieży, czysto polskich  
motywów jak „Wawel”, „Ob-  
łożenie Czesiochowy”, arty-  
stycznie wykonane, i  
**dobra książka**  
są najlepszymi podarkami  
gwiazdkowymi. Do nabycia  
w firmie polskiej

**Księgarnia „Pap”**

Centrala Papierni i Druków (Sp. z o.o.)  
Katowice, ul. 8-go Maja 36.  
Skrytka pocztowa 4.

**PANCERPOL**  
TEL. 938  
**KATOWICE**

UL. KOSCIUSZKI 52 — 54

**WIELKI SKŁAD  
KAS I SZAF DO KSIĄZEK**

**FUTRA**

**J. NOWAK**  
**KATOWICE**  
ul. Słowackiego 8. w domu P. K. O.

**Mundury**

Telefon 1712.

**Salon mód dla Pań i Panów**

Wielki wybór krajowych i zagranicznych materji.

**J. Joks i S-ka**

Rok zał. 1894.

Katowice, ul. św. Jana 12.

Telefon 2163.

**Najstarszy na miejscu polsko-chrześcijański skład manufaktury**

Welny, jedwabie, aksamity.

Materiały na pościel  
i bieliznę.

Urzędnikom  
udzielamy kredytu.

Barchany, płótna, zefiry  
perkale, woale, itd. koce do  
spania, pledy, chustki do  
okrywania.

Urzędnikom państwowym udzielamy kredytu przy dogodnych warunkach  
spłat miesięcznych bez podwyższenia cen.



Adres telegraficzny: „Petow Katowice“

## Węgiel i koks górnosląski z Polskich Kopali Skarbowych

i innych oraz koksu karwińskiego po cenach kopalnianych na dogodnych warunkach.



Składnicza Bydgoszcz  
Bocznicza 28 (plac 27). — Biuro: Gdańsk 42, III.

# Bank Handlowy w Warszawie

Oddział w Katowicach

ul. św. Jana 5, Rachunki żyrowe: Bank Polski, Oddział Katowice  
P. K. O. Katowice Nr. 30 090, Telefony: nr. 19-33. 109. 25-44.

Adres telegraficzny Instytucji: „Handlobank“ — Adres telegraficzny Oddziału w Wilnie: „Handlowy“

Centrala w Warszawie założona w roku 1870 Oddziały Miejskie w Warszawie  
I. Nowy Świat, II. Tłomackie, III. Marszałkowska, IV. Praga, V. Żabia.

Oddziały:

Będzin, Białystok, Bydgoszcz, Ciechocinek, Częstochowa, Hrubieszów, Jędrzejów, Kalisz, Kielce, Końskie, Kraków, Kutno, Lublin, Łowicz, Łódź, Mława, Miechów, Ostrowiec, Pabjanice, Piotrków, Płock, Poznań, Radom, Radomsko, Sandomierz, Sosnowiec, Tomaszów Mazow. Toruń, Wilno, Włocławek, Zawiercie.

Oddziały zagranicą: Gdańsk.

Bank zastępczy:

**BANK ZIEMI POLSKIEJ, CENTRALA W LUBLINIE**

Oddziały:

Baranowice, Brześć n. Bugiem, Chełm, Dubno, Działoszyce, Izbica, Kołomyja, Kowel, Krasnystaw, Krzemieniec, Lwów, Łuck, Pińczów, Puławy, Równe, Siedlce, Włodzimierz Wołyński, Zamość.

Rachunki żyrowe: Bank Polski, Oddział Lublin P. K. O. w Warszawie 100 008.

Adres telegraf. Instytucji: „Bankziemi“ — Adres telegr. Oddziały we Lwowie i Kołomyji „Ziempolbank“.

Przyjmuje oszczędności, poczynając od 5 zł. na książeczki składowe.

Przyjmuje oszczędności, poczynając od 5 zł. na książeczki składowe.

## Górnosląska Centrala Żelaza Sp. z ogr. odp.

Biuro sprzedaży

Spółki Akc.  
w Nowym  
BYTOMIU.

# FRIEDENSHÜTTE

Spółki Akc.  
w Nowym  
BYTOMIU.

Adr. tel. „Centrofer“

KATOWICE, ZAMKOWA 3.

Telefon 1781 i 1495.

Zelazo sztabowe i uniwersalne,  
żelazo formowe (dźwigary i korytka),  
blacha gruba,

blacha cienka i gatunkowa,  
blacha ocynkowana marki „Polonia“,  
szyny normalne — i wąskotorowe oraz materiał kolejowy

**CENY OGŁOSZENI**

Jednolamowy wiersz milimetrowy w dziale ogłoszeń kosztuje 0,10 zł. — Wiersz milimetrowy pod Nadesłano 0,40 zł. — Wiersz milimetrowy w tekście 0,50 zł. — Ogłoszenia zagraniczne 50% drożej. Drobne ogłoszenia jedno słowo 8 gr. — Nekrologi do 120 wierszy po 6 gr. za wiersz milimetrowy.